



03.09.2024

Wywiad z prof. Anną Frajlich, emerytowaną wykładowczynią Polish studies na Uniwersytecie Columbia

Profesor Anna Frajlich, uznana poetka z kilkudziesięcioletnim dorobkiem, która w wyniku kampanii antysemickiej opuściła Polskę w 1969 r., od lat mieszka w Nowym Jorku. Obroniła tu – na wydziale slawistycznym New York University – pracę doktorską poświęconą dziedzictwu starożytnego Rzymu w srebrnym wieku poezji rosyjskiej i przez 34 lata, od 1982 do 2016 roku, była wykładowczynią na Wydziale Slawistyki na Uniwersytecie Columbia. Obecnie, od ośmiu lat na emeryturze, nadal aktywnie uczestniczy w amerykańskim i polskim życiu literackim, biorąc udział w spotkaniach, konferencjach – a także rozmowach. Jedną z nich przeprowadził Przemysław Górecki w nowojorskim mieszkaniu badaczki i jej męża.

Biuletyn Polonistyczny: W przeprowadzonym przez Piotra Śliwińskiego wywiadzie nazwała Pani osoby studiujące polonistykę „ambasadorami polskości”, a Czesława Miłosza – ostatnim polskim dyplomatą, który rozumiał znaczenie amerykańskiej polonistyki dla kraju. Od tej rozmowy minęły 23 lata – co się zmieniło?

Anna Frajlich: Czesław Miłosz, będąc tu pod koniec lat 40., usiłował stworzyć katedrę polonistyczną na Columbii, co zresztą niektórzy mieli mu za złe. Trzeba pamiętać, że wcześniej, zanim w 1948 r. Miłosz zaproponował Manfreda Kridla na stanowisko tak zwanego Adam Mickiewicz Chair in Philology, też była tu polonistka. I fakt, że komunistyczny rząd zaczął dotować pieniądze (10 tysięcy dolarów rocznie) na ten „fotel” Kridla, okazał się kontrowersyjny. Pisał o tym między innymi Thomas Anessi, mój były student, a obecnie wykładowca na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, w artykule Krótka historia studiów polskich na Uniwersytecie Columbia. Takie „przewodnictwo” (chair) zresztą cały czas bywa fundowane przez Polskę, podobnie stało się choćby 10 lat temu, kiedy objęła je dr Magdalena Mazurek, Assoc. Professor na Wydziale Historii tym razem dzięki dofinansowaniu między innymi Polskiej Akademii Nauk.

BP: Zbiegło się to z Pani przejściem na emeryturę. A kto przejął Pani stanowisko?

AF: Chris Caes, absolwent University of California w Berkeley. Trzeba jednak pamiętać, że to nie jest etat profesorski. Ostatnio awansowany na senior lecturer.

BP: To chyba specyficzne amerykańskie zjawisko - jak ma się ten podział na lektorów i starszych lektorów do rzeczywistej profesury?

AF: Wiąże się z tym pewna anegdota. Gdy ja zostałam senior lecturer, zorganizowano przyjęcie, na którym mój mąż się zirytował i z uszczypliwością skomentował fakt, że nie jest to właśnie profesura - wszak ci, którzy mnie utytułowali i gratulowali, byli profesorami. Zaczęli tłumaczyć, że na Columbi jest bardzo dużo lektorów (part-time i full-time), mało zaś starszych lektorów. Tworzą oni odrębną grupę i reprezentują odmienny poziom - na każdym innym uniwersytecie taka osoba byłaby profesorem. Ja w każdym razie byłam zadowolona, bo miałam dużą wolność w organizowaniu wszystkiego tego, co chciałam: konferencje międzynarodowe, autorskie programy, kursy - na wszystko się zgadzano.

Ale pyta Pan co się jeszcze zmieniło przez te 23 lata.

BP: Mówiła Pani, że rząd nie widzi wagi tego, że jest reprezentacja polskiej kultury na uczelni.

AF: Tak naprawdę już po transformacji w Polsce konsulat zaczął się interesować tym, co się u nas działo. Nie mówię już o tym, że byłam zapraszana na wieczory autorskie do Konsulatu, gdy wydawałam nową książkę, co się raczej już nie zdarza. Starali się także dbać o to, by zachować jakiś związek z tym, co się u nas dzieje - zapraszali studentów do siebie, przychodzili na niektóre imprezy na Columbi. Wśród studentów Columbi i Barnard College często zdarzało mi się mieć wśród studentów jakiegoś prawnika albo nawet dwóch. To uniwersytet albo Wydział Prawa ustanowił taki układ. W sumie więc nie mogłam się skarżyć, miałam wrażenie, że te polskie studia były doceniane i w jakiś sposób wspierane. Teraz być może dzieje się to w trochę mniejszym stopniu, ale ja też w mniejszym stopniu w tym uczestniczę, odkąd jestem na emeryturze. Myślę, że to zależy również od warunków zewnętrznych - spójrzmy co działo się w Czechach, gdy w 1984 r. Jaroslav Seifert dostał Literacką Nagrodę Nobla. Język i literatura czeska miały doskonałą reprezentację naukową na Columbi - wprowadzie jednoosobową, ale wszyscy na Columbi znali nazwisko Noblisty i przełożyło się to na bezpośrednie zainteresowanie studiami czeskimi wśród studentów.

BP: Cztery lata wcześniej Nobla dostał Miłosz, w ostatnich latach Olga Tokarczuk, a w czasie Pani pracy na Columbi - Wisława Szymborska. Czy w tych przypadkach dało się zaobserwować podobne zjawisko, jeśli chodzi o zainteresowanie polskimi studiami?

AF: Tak, zdecydowanie. Tokarczuk była u nas na Columbi, jeszcze za mojej kadencji i przed i po Noblu, na spotkaniach, w których uczestniczyłam. Rozmawiałam z nią, zresztą podczas moich zajęć pracowałam z jej nowelami. Wydaje mi się, że największy wzrost zainteresowania studiami polskimi wiązał się jednak z Miłoszem.

BP: Współcześnie mówimy jednak zazwyczaj o amerykańskich slawistykach, nie polonistkach. Czy to oznacza, że polonistyka sama w sobie jest - poza nielicznymi wyjątkami, jak choćby Polish Studies Faculty (Loyola University) czy Department of Polish, Russian, and Lithuanian Studies (University of Illinois), oba w Chicago, gatunkiem wymierającym?

AF: Nie myślałabym o tym w kategoriach wymierania. Po prostu nie wiadomo, czy jako osobny wydział, polonistyka miałaby szansę się utrzymać, dlatego też zazwyczaj jest ona uprawiana i prowadzona w ramach slawistyki. Jest nawet problem z pisaniem doktoratu na amerykańskiej polonistyce - podam tu przykład Marii Dzieduszyckiej (krewnej Katarzyny Herbertowej), zarządzającej Fundacją im. Zbigniewa Herberta. Obroniła na Columbii doktorat *The Romantic Other: Adam Mickiewicz in Russia*, jednak formalnie musiało się to odbyć w ramach slawistyki właśnie - nie polonistyki. Aby obronić doktorat, należy mieć określoną ilość kursów z języka polskiego, a jeśli był tylko jeden kurs rocznie, to siłą rzeczy stawało się to niemożliwe.

Myślę, że jak jest dobry i ciekawy program, to studenci są zainteresowani i chętni do nauki. Miałam choćby takiego, który co tydzień przyjeżdżał pociągiem z Yale University, a więc z New Haven. To raczej po stronie polskiej jest większy problem z takim zainteresowaniem, brakuje świadomości i zrozumienia prostego faktu, że ludzie, którzy kończą tutejsze najlepsze uniwersytety i robią kariery akademickie, stają się później naturalnie orędownikami Polski w różnych sprawach. To jest, wracając do początku naszej rozmowy, ta kwestia bycia ambasadorem polskości.

Władysław Zając (mąż Anny Frajlich): Rozumieją ten mechanizm w Ukrainie, w Czechach, w wielu innych europejskich krajach, a w Polsce jakoś nie. Jest na Columbii imponujący Casa Italiana, ufundowany nota bene jeszcze przez Mussoliniego, który w pewnym momencie został kupiony od Columbii przez Włochów za kilka milionów dolarów. Ci wyremontowali go i odprzedali Columbii za symbolicznego dolara, jako symbol swojego kraju i do dziś odbywają się tam uroczystości, imprezy, spotkania, wystawy. Rozumiem, że Polska nie jest tak bogata i nie może sobie pozwolić na podobny ruch, ale mamy tu na myśli ogólny brak zrozumienia istotności takich inicjatyw; „po co komu literatura?”.

AF: Ja również swój doktorat na New York University obroniłam nie na polonistyce, a na slawistyce - i był to doktorat rusycystyczny (opublikowany jako *The Legacy of Ancient Rome in the Russian Silver Age*).

BP: Na ten problem można dziś spojrzeć jeszcze w innym świetle. W 2000 r. na pytanie, czy polonistyka jest lub musi być ubogą krewną rusycystyki odpowiedziała Pani, że krewną jest, ale nie musi być ubogą. Przywołuję tę kwestię, bo inny jest geopolityczny moment, w którym się znajdujemy od 2014, a zwłaszcza 2022 roku. Wydaje się, że to taki historyczny punkt zwrotny dla Europy i świata, w którym trzeba uznać kulturową potrzebę i konieczność skupienia się na takim rozwoju slawistyki, który wiązałby się z jej liberalizacją i emancypacją nierosyjskich języków słowiańskich.

Slawistyka od lat jest, jak wiemy, zdominowana przez ten język i kulturę, co stwarza pewną dysproporcję i niepożądaną sytuację, w której całe spektrum słowiańskich języków pozostaje na marginesie, bez realnych szans na walkę o należne im miejsce w panteonie literatur. Taka sytuacja, określana przez prof. Ewę Thompson jako „niewidzialność i niemota nierosyjskiej slawistyki”, stanowi wyzwanie akademickie.

AF: To oczywiście prawda, choć sprawa jest trochę bardziej złożona. Musimy jeszcze pamiętać o aspekcie pragmatycznym: jeśli ktoś idzie na studia, to zazwyczaj zastanawia się, co będzie po nich robić. Studia dają zawód - i definitywnie jest o wiele mniej perspektyw pracy dla kogoś, kto studiuje język czeski czy polski, a nie rosyjski. I to właśnie w tej kolejności, bo po tej fali popularności w latach osiemdziesiątych obecnie mój kolega, który w departamencie slawistycznym zajmuje się bohemistyką, ma mniej studentów. Oczywiście, tak jak podkreślałam zawsze, polonistyka jest wybierana przez kandydatów nie tylko z powodu związków uczuciowych, ale również dlatego, że traktowana jest przez nich zawodowo - w zakresie językowym, lub literaturoznawczym. Prawda jest jednak taka, że bardzo niewielu ludzi może wyżyć z tego, że zna język lub literaturę polską. Tym bardziej, że na tych dobrych uniwersytetach te studia kosztują bardzo dużo i trzeba w nie włożyć odpowiednio dużo pracy, w związku z tym studenci zajmują się tym, jako poboczną gałęzią swoich działań. Niestety, mało prawdopodobne jest, by tłumy mogły studiować polonistykę w USA i z niej żyć - rosyjski to już coś zupełnie innego. Jest dużo większe zapotrzebowanie choćby na tłumaczy, szersze są możliwości zatrudnienia, i wydaje się, że na to nie ma rady. Prawdą jest to, co pisze prof. Thompson - te studia slawistyczne poza rosyjskimi są mniej rozwinięte. Można by jednak przecież starać się utrzymać to na pewnym poziomie - gdyby ustanowiono jeszcze jeden etat, to z pewnością pomogłoby to w zwiększeniu popularności i zainteresowania kandydatów. W rzeczywistości jednak, gdy na Columbii tworzone miejsce pracy, które objęła wspomniana już dr Magdalena Mazurek, polska strona zdecydowała, że będzie to wydział historyczny - absolutnie nie było mowy o literaturze, no bo po co komu literatura? Skoro więc Polacy nie dostrzegają takiej potrzeby, to trudno sobie wyobrazić, by ta sytuacja mogła się polepszyć. Brakuje dostrzeżenia potencjału ekonomicznego, oraz inicjatywy, by to dofinansować, aby więcej studentów mogło zapoznać się z polską literaturą.

Teraz, odkąd zaczęła się wojna, na pewno dostrzegam większe zainteresowanie językiem ukraińskim.

BP: W zredagowanym przez Jerzego Madejskiego zbiorze „Kampus. Pisarstwo literaturoznawców” z 2010 r. znajduje się Pani tekst **Na Columbii po polsku. Można w nim przeczytać: „Na przestrzeni dwudziestu siedmiu lat pracy na uniwersytecie wciąż spotykam się z pytaniami: Kto uczy się polskiego? Dlaczego uczą się polskiego? Na co chciałabym przekornie odpowiedzieć pytaniem: Dlaczego nie mieliby się uczyć? W tym pytaniu bowiem dostrzegam pewne niedowierzanie wynikające z**

kompleksu (...) - że język i literatura polska mogą stać się inspirującym składnikiem ogólnej wiedzy o języku, o kulturze, o świecie”.

Jako osoby poświęcające swoją działalność językowi i literaturze polskiej traktujemy takie założenie jako oczywisty punkt wyjścia. W jaki sposób jednak szerzyć to przekonanie?

AF: Takie pytania o to, kto studiuje język i literaturę polską, biorą się często z przekonania, że robią to głównie przedstawiciele tzw. Polonii. Ja zawsze używam tego słowa w stosunku do emigrantów przedwojennych, bo ci późniejsi w zasadzie nazywali siebie emigracją polityczną. Miałam oczywiście studentów z tych kręgów, do których nabrałam dużego szacunku. Bywały to nawet osoby z rodzin, które były tu już od dwóch lub trzech pokoleń. Dziadek Wisławy Szymborskiej, Antoni, był powstańcem wielkopolskim i styczniowym, który również tutaj przyjechał. Czytałam ze studentami jego pamiętnik w ramach moich zajęć North America in the Mirror of Polish Literature - i przeżywała to nawet sama Szymborska: „Mój Boże, gdyby mój dziadunio wiedział, że go będą czytali amerykańscy studenci!”. Tymczasem, wśród moich studentów były także osoby rodzinne i geograficznie w ogóle niezwiązane z Polską. To często był ktoś, kto potrzebował języka polskiego lub rozeznania w polskiej literaturze do pracy, którą pisał, lub chciał po prostu poszerzyć swój kontekst interpretacyjny. Wydaje mi się, że pytania, które Pan cytuje, pojawiają się i będą się pojawiać jako zrozumiały przejaw ciekawości Amerykanów tym, kto chce się uczyć dosyć niszowego języka - i jednocześnie jako przejaw być może za mało przyswojonej przez Polaków świadomości roli kulturowej literatury i języka. Możemy to krzawić tak, jak robimy to do tej pory, nauczać i wyklądać, pisać, organizując konferencje i spotkania.

BP: W rozmowach i wywiadach wspomina Pani, że „z niezbadanych przyczyn” rok akademicki 1984/1985 zapisał się w annałach prowadzonego przez nią rektoratu najliczniejszą grupą słuchaczy, co oznaczało po 10 osób w grupie. W latach późniejszych zdarzało się Pani za to przemawiać do jednej osoby, stojąc w obszernej sali wykładowej. Teraz, kiedy jest już Pani na emeryturze, jak wspomina ostatnie spotkania ze studentami?

AF: Wspominam w ogóle bardzo wiele spotkań i doświadczeń z moimi studentami - przez 34 lata przewinęło się przecież sporo pamiętnych osób i prac. Miałam na przykład studentkę, germanistkę, która pisała pracę o korespondencji zakonnicy z dwóch klasztorów - polskiego i niemieckiego - i wzięła mój kurs, żeby móc poznać język polski, w którym ta korespondencja była prowadzona w piętnastym czy szesnastym wieku. To bywają bardzo daleko idące potrzeby stojące za decyzją, by studiować nasz język. Miałam wśród studentów sportowców, którzy reprezentowali Columbię i też wybierali mój lektorat. Interesujące osoby wyłaniały się też na corocznych konferencjach slawistycznych: studenci, pisząc pracę na koniec roku, prezentowali ciekawe, inne spojrzenie na rzeczy, które my już znamy. Ich percepcja, inna od naszej, pozwalała spojrzeć na literaturę w zupełnie nieoczekiwanych kontekstach. Jedna ze studentek podczas zajęć zaproponowała

porównanie Telimeny z... zamkiem. Zamek – z daleka piękny i wspaniały, z bliska – ruina. A Tadeusz, przyjrząwszy się Telimenie, gdy ta usiadła obok niego, powiedział przecież: „Przebóg! Naróżowana!”. Przypuszczam, że na polskim uniwersytecie takie porównanie nikomu nie przyszło na myśl. Inna ze studentek, zajmująca się dramatem, obecnie znana profesor, doszła do wniosku, że każda scena w Panu Tadeuszu jest albo podsłuchana, albo podpatrzona. Inny student, ekonomista, podczas omawiania utworów Niemcewicza wpadł na pomysł, by dokonać obliczeń i przełożyć tak drobiazgowo spisywane przez niego w pamiętniku wydatki na współczesną rzeczywistość ekonomiczną, by lepiej oddać realia, o których mowa w utworze.

Oprócz osób z Columbii pojawiały się także interesujące postaci z zewnątrz. Kiedyś zgłosiła się do mnie studentka z New York University, mojej macierzystej uczelni, I-Chen Chen, Koreanka, która pisała doktorat komparatystyczny o Chopinie i Mickiewiczu. Ukazał się jako książka Narrative in the Ballades of Fryderyk Chopin: Rhythm as a Reflection of Adam Mickiewicz's Poetic Ballads. Przeprowadziła poetologiczny rozbiór rytmu, nut, utworów Chopina, a ja pomagałam jej z Mickiewiczem – analizowałyśmy razem te wszystkie ballady, ich budowę i strukturę. Gdy byłam na obronie tej pracy zaskoczyła mnie tradycja podpisywania się wszystkich uczestników na korku od przyniesionego szampana.

BP: Czy można Panią czasem spotkać w Polsce?

AF: Tak, teraz jesienią będę miała trasę po Polsce, ze spotkaniami autorskimi dotyczącymi mojej twórczości. Zapraszam na spotkania.

BP: Informacje o tych wieczorach publikujemy na stronie Biuletynu Polonistycznego. Serdecznie dziękuję za rozmowę!

Lista spotkań z prof. Anną Frajlich:

<https://biuletynpolonistyczny.pl/pl/events/spotkania-autorskie-z-prof-anna-frajlich-columbia-university,3081/details>

Słowa kluczowe: Polish studies, USA, Columbia